

NIE BYŁO JESZCZE NICZEGO OBDARZONEGO ISTNIENIEM.
WSZYSTKO BYŁO W ZAWIESZENIU, WSZYSTKO W SPOKOJU, W CISZY.
WSZYSTKO NIERUCHOME, MILCZĄCE I PUSTE BYŁO ROZPOSTARCIE NIEBA.

TO JEST PIERWSZA OPOWIEŚĆ
I PIERWSZA ROZPRAWA.

JESZCZE NIE BYŁO CZŁOWIEKA ANI ZWIERZĘCIA,
PTAKÓW, RYB, KRABÓW, DRZEW, JASKIŃ, KAMIENI, WĄWOZÓW, ZIÓŁ ANI LASÓW.
ISTNIAŁO TYLKO NIEBO, NIE POJAWIŁA SIĘ JESZCZE TWARZ ZIEMI.
BYŁO TYLKO MORZE W POKOJU I NIEBO W CAŁYM SWYM OGROMIE.

NICZEGO TAM NIE BYŁO, CO CZYNIŁOBY HAŁAS,
ŻADNEJ RZECZY, KTÓRA BY SIĘ PORUSZAŁA ANI CZYNIŁA HAŁAS W NIEBIE.

NIE BYŁO NICZEGO STOJĄCEGO NA NOGACH,
TYLKO WODA W SPOCZYNKU, MORZE USPOKOJONE, SAMOTNE I CICHE.
NIE BYŁO NICZEGO OBDARZONEGO ISTNIENIEM.

BYŁ TYLKO BEZRUCH I CISZA W CIEMNOŚCIACH, W NOCY.
TYLKO STWÓRCA, KSZTAŁTUJĄCY, TEPEU, GUCUMATZ,
PRZODKOWIE BYLI W WODZIE OTOCZENI ŚWIATŁOŚCIĄ.
BYLI UWICI Z PODWÓJNEJ HELISY, UKRYCI POD PĘTLAMI DNA,
LUŻNYMI NIBY PIÓRA ZIELONE I BŁĘKITNE,
DLATEGO ZWIE SIĘ ICH GUCUMATZ, CZYLI WĄŻ Z ZIELONYMI PIÓRAMI.
Z WIELKICH MĘDRCÓW, Z WIELKICH MYŚLICIELI JEST ICH POCHODZENIE,
BO WIELKA JEST ICH GENETYCZNA WIEDZA.

W TEN SPOSÓB ISTNIAŁO NIEBO I TAKŻE SERCE NIEBA,
GDYŻ TAKIE JEST IMIĘ BOGA.
TAK OPOWIADANO.

WÓWCZAS PRZYSZŁO SŁOWO,
PRZYBYLI POŁĄCZENI TEPEU I GUCUMATZ,
W CIEMNOŚCI, W NOCY I ROZMAWIALI ZE SOBĄ TEPEU I GUCUMATZ.
ROZMAWIALI PRZETO, RADZĄC SIĘ I MEDYTUJĄC;
ZGODZILI SIĘ, ZŁĄCZYLI SWE SŁOWA I SVOJE MYŚLENIE.
OBJAWIŁO SIĘ WÓWCZAS JASNO, PODCZAS GDY MEDYTOWALI,
ŻE KIEDY ZAŚWITA, POWINIEN POJAWIĆ SIĘ CZŁOWIEK.
WÓWCZAS ZARZĄDZILI STWORZENIE
I WZROST DRZEW I KRZEWÓW,
I NARODZINY ŻYCIA,
I STWORZENIE CZŁOWIEKA.

Tak, według Popol Vuh, powstałem i pięćdziesięciu lat było mi potrzeba, by jasne się dla mnie stało, że uczeni w piśmie wyprowadzają mnie w pole swoim objaśnieniem przypadkowej fizykochemicznej genezy. Ja zostałem Stworzony i, pięćdziesięcioletni, odszedłem od ich płaskiej wiary w bezwład, martwość, pustkę mechanicznego wszechświata i poznałem, że żyje on, myśli, oddycha, jest inteligentny, wrażliwy, przewidujący, czuły na najłabsze sygnały, że mądrze i celowo prowadzi odwieczną pracę nad kierowaniem swych tworów ku coraz wyższym postaciom istnienia.

Siedemdziesięciopięcioletni już dzisiaj, z prawym barkiem bolącym od czasu do czasu, poskrzypującym lewym kolanem, zaczynający czasem powątpiewać w swoją niezniszczalność, lecz nadal przeświadczony o sprawności i sile, przekonany o nienaruszonej zdolności tworzenia, świadomy, ale wciąż niezbyt skłonny do uznania wszczepionych wad charakteru, jeszcze nierozpamiętujący przeszłości, pogodzony z czasem i ograniczeniami, nieznacznym ubywaniem sił i energii,

podchwytujący inicjatywy, od dawna umiejący poskramiać niecierpliwość, snujący plany, choć nauczony żyć chwilą, nieobwiniający nikogo i niczego, wolny od żalu do losu, od lęków i strachów, żałujący za grzechy, przenikający intencje, odczytujący zachowania, wybaczący i usiłujący zrozumieć, wolny od gwałtownych pragnień, chęci posiadania, zdobywania, zawłaszczania, nieskrępowany w myślach nieznanymi tabu, otwarty na idee, obojętny na uciążliwości fizyczne, odporny na psychiczne, nieznanymi depresji i załamań, nierozczarowany, niezdolny do paniki, obojętny na niebezpieczeństwo, wszystko jedzący, nie nadmiernie łakomy, umiarkowanie dbały o wygląd, zamknięty w sobie, nieujawniający emocji i uczuć, choć nie całkiem ich pozbawiony, oszczędny w słowach, trudny we współżyciu, niezdolny do gwałtownych porywów i nigdy nietracący z oczu tej zasady, że podróżnik życia winien być w swej świadomości bezkształtny, wolny od wyobrażenia swej własnej osoby, kierujący się instynktem oraz wciąż świadomy, że jest prowadzony przez niematerialną, niepoznaną siłę, pewny pozostawania pod jej płaszczem ochronnym – siadam i piszę te słowa i zdania.

Słowa i zdania pojawiające się w świadomym umyśle w postaci gotowych, jasno ukształtowanych myśli, które coś lub ktoś przygotowuje za zasłoną nieświadomości w odpowiedzi na moje nieokreślone „chcenie” wyrażenia czegoś, tak iż ostatecznie nie wiem, czy to chcenie jest moje, własne czy też innej istoty we mnie, będącej może częścią mojego „ja”, jednak ukrytą przede mną i decydującą, co by oznaczało, że ja, część świadoma siebie, jestem prowadzony przez cząstkę, byt ukryty, o nieznanym naturze, a zatem nie wiadomo, czy będący mną i tylko posługujący się moim ciałem, pamięcią i doświadczeniem.

Nieprzygnębiony uzyskaną już dawno wiedzą o niemożności przeniknięcia procesów i mechanizmów, które ukształtowały, napędzają, zasilają, programują, utrzymują w działaniu moje ciało i umysł, spoglądam na szalejący wokół i wciąż przyspieszający taniec cieni, dekoracji, masek, efektów dźwiękowych, bodźców, impulsów, sygnałów, na wrzask, zgiełk i szумы, jakimi wszystkie byty świata usiłują się we mnie wdzierać. Filtruję je, przesiewam, znieczulam, unicestwiam, tylko z rzadka przyjmuję lub coś za mnie to czyni, i wiem, że w tej obecnej postaci istnienia, materialnej, grubej, ledwie ociosanej, nie zdołam zrozumieć powodu pierwotnej przyczyny ani celu. Godzę się z tym i jestem gotowy poprzestać na samym poszukiwaniu. Jestem, poszukuję – i z jakiegoś powodu tym się zadawałam. To zadana mi z urodzeniem właściwość, niewyrozumowana ufność, że Ktoś Najwyższy postanawia za mnie, więc powinienem i mogę zachowywać spokój. Posiadam go niezashużenie, tak jak rękę czy nogę. Nie trapi mnie pytanie „dlaczego?”, stąd wnoszę, że ta ufność jest immanentną częścią mnie samego i pozwala mi zajmować się głupstwami codzienności, które jednak głupstwami nie są, skoro są istotą i treścią tego, co nazywam życiem pośród rzeczywistości tego wszechświata, gdzie nocnik jest takim samym zjawiskiem, utworzonym z takiej samej materii, przez takie same procesy i te same prawa, co galaktyka i gromada galaktyk.